



# PRACA nad sobą

APERIODYK      MARIAWICKI

Zeszyt 65

Kraków, luty 2012 r.

## GŁĘBIA WIARY A FANATYZM

Można spotkać ludzi dobrych, którzy potrafią - jak to jest dziś modne mówić - każdemu okazać empatię. Mówiąc zwykłymi słowami - potrafią zrozumieć każdego człowieka i okazać mu to. Są tolerancyjni zarówno dla słabostek człowieka jak i dla jego podstawowych poglądów. Tacy ludzie przeważnie i w swoim życiu nie przywiązują wagi do takiej czy innej doktryny. Jeśli są wyznawcami jakiejś określonej religii, kierują się bardziej sumieniem niż jej przepisami. Dla natury oschłej, trudnej do kontaktów z innymi, spotkanie z takim człowiekiem bywa impulsem do ocieplenia tej natury, do zbliżenia do świata. Egoista pod wpływem takiego spotkania może znaleźć w sobie nieco altruizmu. Zły człowiek może się stać lepszy. Najwięcej jednak może takie spotkanie dać smutnemu, cierpiącemu fizycznie lub duchowo. Pociecha przychodzi nie przez medyczną pomoc, nie przez filozoficzne rozumowanie, ale wprost przez ciepło bijące z takiego człowieka. Sama wrodzona zdolność empatii może działać cuda w dziedzinie emocji, potrafi zmieniać uczucia ludzi ze złych, niepożytecznych na lepsze i użyteczniejsze w życiu.

Istnieją ludzie rozumowcy. Ci przeważnie przyjmują jakiś znany w filozofii lub stworzony przez siebie samego system myślenia, który się im wydaje wyjaśniający wszystko łącznie z życiowymi wydarzeniami, niepowodzeniami, cierpieniami, nieszczęściami i klęskami. Bywają głęboko wierzący w swoje przekonania, w swoją religię, która może być jedną z istniejących, lub indywidualnie ułożoną przez siebie. (Poglądy ateistyczne, wiara w nieistnienie Boga jest również pewną wiarą, religią.) Bywają oni fanatykami prawd przez siebie wyznawanych. Tacy ludzie też potrafią przynieść radość, udoskonalić poglądy swoich bliźnich, podnieść na duchu cierpiących fizycznie lub duchowo, ale pod warunkiem, że mają oni poglądy podobne do ich własnych. Tych, którzy nie pragną pojmować rozumem tajemnic bytu, lecz je przeżywać uczuciami uważają za niższych od siebie. Uznają ich jednak, jeśli tamci są gotowi bezkrytycznie przyjąć ich kierownictwo. Głęboka wiara tak ukształtowanych osób może się łączyć ze szlachetnymi cechami charakteru, które niestety zakrywa fanatyzm.

Człowiekowi zagubionemu w świecie, mającemu swoje specyficzne problemy często nie wystarczy uczuciowa pociecha. Może ją przyjąć z radością; nie mniej chciałby zrozumieć swoje sprawy, znaleźć w realnej wiedzy fundament do dalszego działania.

Na ogół nikomu strapionemu nie wystarczy też rozumowa pociecha udzielona przez głęboko wierzącego fanatyka. On zaklasyfikuje jego problemy według wyznawanej przez siebie doktryny i udzieli porady według gotowego schematu. A człowiek zagubiony, cierpiący, szukający światła widzi, że jego sprawy nie pasują do gotowych formułek. Przyjmie z ciekawością doktrynalne pouczenia głęboko wierzącego, ale one nie potrafią uchwycić istoty niczych osobistych problemów.

Te dwa przeciwne sobie - oba w pewnym sensie pozytywne - typy ludzi, jakby wykluczały się wzajemnie. Jest to najbardziej widoczne w wielkich wyznaniach religijnych,

nie tylko chrześcijańskich, mających długą historię. Głęboko wierzący są przeważnie fanatykami. Zaś wiara tolerancyjnych nie bywa zbyt głęboka. Można powiedzieć, że trudno spotkać kogoś, kto potrafi łączyć własną głęboką wiarę, wysokie i dobrze umotywowane wymagania - między innymi moralne względem siebie z tolerancją dla innych.

Ale tacy byli i są dziś prawdziwi święci. Właśnie połączeniem niezmiernie wysokich wymagań względem siebie z ogromną miłością i tolerancją dla innych przyciągał do Boga święty Franciszek z Asyżu. Nie tylko przyciągał, ale powodował, że ludzie pod jego wpływem się zmieniali. On sam od nikogo wiele nie wymagał, ale pokazywał, jaki spokój ducha można osiągnąć gdy się dobrowolnie, bez przymusu, po prostu z przekonania o słuszności człowiek zmienia ku lepszemu, skłania coraz bardziej do Boga, buduje w sobie to co dobre, a pozwała wędnąć złym skłonnościom.

Taką była święta Maria Franciszka. Gdy spotykała wątpiących w Boga, czy zgół niewierzących nie gromiła ich, nie prawila kazań moralnych. Ściste, nieraz bolesne wskazówki zachowywała dla tych, co się świadomie poddawali jej kierownictwu. Natomiast w spotkanych ludziach umiała znaleźć załázky dobra i zachęcić do ich rozwinięcia. Właśnie niektórzy z tych ludzi poddawali z czasem się pod jej matczyne kierownictwo. Ale i dla tych, dla których spotkanie z nią było tylko przelotnym incydentem, coś dobrego, coś pozytecznego zostawało w duszy na zawsze, przynajmniej jako radosne wspomnienie. Tylko fanatycy mieli jej za złe, że nie spełniała takich czy innych wydumanych kryteriów.

Mateczka wychowała wiele ludzi, którzy umieli potem postępować tak jak ona. Ci wychowali innych. To oni umieli i do dziś umieją pokazywać ludziom piękno Dzieła Wielkiego Miłosierdzia. Gdy ja, piszący te słowa, nie wierząc w istnienie Boga, z ciekawości się zainteresowałem mariawityzmem, uczeń Mateczki brat biskup M.Jakub nie próbując żadnej indoktrynacji, dopuścił mnie do Komunii Świętej pod jednym tylko warunkiem, abym (choć nie

wierzący w Boga !) odbył spowiedź z moich złych czynów. Resztę dopełnił Zbawiciel. Zostałem mariawitą. Również, gdy po raz pierwszy spotkałem przedstawicielkę mariawityzmu felicjanowskiego siostrę kaptankę M. Agnetę, ta nie zważała na moją niechęć do Felicjanowa, nie dyskutowała ze mną, tylko traktując mnie życzliwie pokazała, jak można elementami jej kierunku mariawickiego uzupełnić to, czego mi niedostawało w mariawityzmie plockim.

Czasem spotykam uczestników Dzieła Miłosierdzia z obu krajowych, czy z któregoś z zagranicznych prądów mariawickich, którzy są serdeczni dla całego świata. Nie wymagają wiele od siebie ani od innych. Ich mariawityzm jest letni. Wywołuje pewnego rodzaju życzliwość, ale potrafi pozyskać tylko niewielu i to równie letnich wyznawców.

Spotykam też innych, którzy powiadają: „My chcemy wokół siebie zgromadzić tych, co potrafią przyjąć takie a takie konieczne prawdy doktrynalne, rozwinąć cześć dla takich czy innych świętych osób. O innych ludzi nie dbamy. Niech w Dziele Miłosierdzia pozostanie nas tylko kilkanaścioro, ale niech to będą ci, którzy przyjmą w całości to, co my uważamy za jądro Bożego Dzieła.” Nie usiłuję twierdzić, że owo jądro jest błędnie przez nich rozumiane. Wiem tylko, że zniechęcają oni do Dzieła Wielkiego Miłosierdzia wielu, którzy są nim zainteresowani. Tacy ludzie burzą mariawityzm, zamiast go budować.

Starajmy się my, mariawici, w stosunku do siebie i do innych zachowywać tak, jak to robiła Mateczka. Zrobimy wtedy coś dla świata. A jeśli i ci inni, ci niemariawici uznają za słuszne takie postępowanie, wtedy przyczynimy się razem do budowy Królestwa Bożego, które nie jest z tego świata, ale istnieje tu na tym świecie i powinno się rozwijać, aby koniec naszej epoki kulturowej nie był wyłącznie tragiczny.

*brat Paweł*



## **KTO POWIEDZIAŁ, ŻE MA BYĆ LEPIEJ?**

Zastanawiam się kto powiedział, że z każdym rokiem ma być coraz to lepiej. Jest faktem, że wielu ludzi jest przekonanych, że tak powinno być, ale z czego takie przekonanie wynika? Czy byli prorocy przewidujący stałe zwiększenie dobrobytu? Może jacyś materialistyczni prorocy? Był taki Karol Marks, który twierdził, że gdy zapanuje idealny ustrój społeczny, wtedy dobrobyt długo się będzie rozwijał, aż stanie się powszechnym dobrem. A więc wprawdzie obiecywał „coraz lepiej”, ale tylko do pewnej granicy, też nie wiecznie. Znany był w historii niejaki Adolf Hitler. Ten - też nie po wszystkie czasy - niemniej przez stulecia zapowiadał stały rozwój, ale tylko jednego narodu, podczas gdy pozostałym miało się dziać coraz gorzej. Szukam w dziełach ekonomicznych, politologicznych, zaglądam do ksiąg żydowskich, muzułmańskich, hinduistycznych i pogańskich i nigdzie nie znajduję przewidywań o wiecznym rozwoju dobrobytu ziemskiego. A prorocy kapitalizmu? Ich proroctwa o stałym postępie gospodarczym podobnie się rozpadły jak obietnice Marksa i Hitlera.

Trafiam na współczesne dzieła i artykuły, że postęp gospodarczy wiąże się z coraz większym wyniszczaniem zasobów ziemskich. Że gdy zabraknie ropy naftowej, ludzie będą walczyć między sobą o olej roślinny. Biedni - aby mieć co jeść, bogaci - aby uruchamiać nim silniki coraz wspanialszych wehikułów. A gdy skład chemiczny atmosfery zwiększy się o dalsze procenty związków węgla wydobywanego pod różnymi postaciami z wnętrza Ziemi, ludzie zaczną się dusić i nikomu nie będzie lepiej. Może nawet ludzkość całkiem przestanie istnieć i nastanie dobrobyt co najwyżej dla karaluchów i pokrewnych im istot.

Biorę więc do ręki nasze, chrześcijańskie Pismo Święte i widzę, że obiecuje ono stały postęp, ale nie w materialnym dobrobycie, lecz w odczuciu szczęścia związanego z trwaniem w Bogu, w coraz wspanialszej współpracy z Bogiem i to dopiero po sądzie ostatecznym, na zmartwychwstałej, nowej Ziemi, przy tym nie dla wszystkich, tylko dla tych, którzy się do takiej współpracy z Bogiem teraz, na tym świecie właściwie przygotowują.

Biblia mówi, że ubodzy zawsze będą wśród nas. Z jej rozdziałów mówiących o przyszłości tego świata możemy się dowiedzieć o wielkich kataklizmach, które nastąpią zarówno wskutek działania ludzkiego, jak i przyczyn przyrodniczych. Ludzie, którzy nie potrafią żyć duszą i duchem, ale przede wszystkim ciałem, czytając Biblię doznają raczej lęku przed przyszłością tego świata niż przekonania, że wszystko będzie coraz lepiej.

Sądzę że właściwą przyczyną powszechnego przekonania o stałym wzroście gospodarczym świata i związanym z tym zwiększaniem się dobrobytu

jednostek należy szukać w trwającym jeszcze echu wielkiej wojny światowej. Tych, co pozostali po niej żywi, w większości pozbawiła ona tego, co uważali za warunki normalnego bytowania. Wszyscy czekali na jakąś poprawę i ta poprawa przyszła. W porównaniu ze skrajnymi brakami i nieszczęściami wojennymi, łatwo było odczuć poprawę nawet gdy była niewielka. W niektórych krajach następowała ona szybciej i wcześniej, w innych wolniej i później, w jeszcze innych bardzo późno. Zachodziła stopniowo, w ciągu lat. Przyzwyczajiliśmy się do niej. Niektórzy doszli do większego dobrobytu niż ten, jaki znają z opowiadań swoich przodków, lub sami zdążyli przeżyć przed wojenną katastrofą. Tym chętniej osiągnęliby jeszcze większy. Inni stale jeszcze oczekują dobiecia do poziomu, który uważają za właściwy dla siebie. Stąd u jednych i drugich przekonanie, że ma być jeszcze lepiej, lub zgoła, że stale ma być coraz to lepiej.

Historia pokazuje, że we wszystkich krainach świata okresy dobrobytu zmieniały się z okresami zubożenia lub zgoła klęsk społecznych. Okresy wznoszenia i ubywania dobrobytu bywały na ogół podobnie długie, choć niektórzy są skłonni twierdzić, że okresy rozwoju kultury i dobrobytu były raczej krótkimi, jasnymi przebłyskami wśród bolesnej historii ludzkości obciążonej piętnem pierworodnej winy. Nie będę się tu zastanawiał, czy mają rację.

Spośród ludów modlących się wyłącznie lub przede wszystkim o sprawy materialne, chrześcijanie wyróżniali się tym, że dziękując Bogu za wszelkie dobra, również materialne, radość czerpali z trwania przy Nim. Nie pragnęli bogactw. To co posiadali uważali za depozyt złożony przez Najwyższego w ich ręce dla używania go w Jego służbie. Nie wahali się używać go zarówno dla własnych potrzeb jak i dla potrzeb innych. Bogactwo nie może dać szczęścia chociażby dlatego, że nie chroni przed chorobami, nieszczęśliwymi wypadkami, przed śmiercią - ani własną, ani naszych bliskich. A poczucie trwania w wiernej służbie Bożej nawet w chorobie, nawet w chwilach nieszczęść i wobec majestatu śmierci pozwala zachować jeśli nie pogodę ducha, to przynajmniej jego spokój.

Jeśli się dziś martwimy światowym kryzysem, niewłaściwym takim czy innym wskaźnikiem gospodarczym naszego kraju, czy świata, przewidzianą lub zaistniałą utratą własnego statusu społecznego lub obecnego stanu posiadania, to znaczy, że nasze poczucie chrześcijańskie jest nader słabe. W modlitwie zanośmy do Boga naszą najważniejszą prośbę dotyczącą dóbr materialnych, mianowicie „*Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*”. Rzadko się zdarza, żeby Bóg odmówił spełnienia tej prośby. Nie prosimy o więcej ale z modlitwą usiłujemy znaleźć uczciwy sposób tylko dla zdobycia na dziś tego potrzebnego kawałka chleba, może dla życia na niższym poziomie niż dotąd. Przysłowie przesadnie mówi „*jak kto się przyłoży, to mu i w piekle niezgorzeje*”. A tu przecież nie grozi piekło, tu co najwyżej dotek w naszej drodze po tym świecie. Jeśli dotek pokaźny, a przejdziemy go bez wielkiego potknięcia, to duże zwycięstwo naszego chrześcijańskiego samopoczucia.

To nieprawda, że dobrobyt stale musi rosnąć. Dziękujmy, gdy rośnie, nie martwmy się gdy maleje. To dla wszystkich epok, dla wszystkich okolic

świata było i jest normalne. Obawy przed światowym kryzysem nie są godne chrześcijanina.

A może chwycimy pałki i kamienie w ręce i pójdziemy zwalczać obecny porządek? Pomyślmy, czy jakkolwiek rewolucja zwiększyła dobrobyt? Każda rewolucja wraz ze zwalczaniem porządkiem niszczy i uchowane w nim dobra. Na nową poprawę trzeba potem czekać wiele lat po ustaniu wrzenia. Przewroty społeczne są podobnymi klęskami jak epidemie czy trzęsienia Ziemi. Gdy przed wiekiem inni niszczyli świat śpiewając „...z własnego prawa bierz nadania i z własnej woli sam się zbaw.”, chrześcijanie modlili się, a zmusną pracą społeczną starali się udoskonalać porządek świata. W przypadku jakichkolwiek niespodziewanych wydarzeń zachowajmy się jak prawdziwi chrześcijanie.

\* \* \*

Wprawdzie w życiu doświadczyłem pełnego, długiego głodu, wprawdzie pamiętam smak lebiody gotowanej na wodzie dla zaspokojenia potrzeby jakiegoś pokarmu, wprawdzie wędrowałem kiedyś przez świat po proszonym chlebie wśród ludzi, którzy tego chleba też nie mieli dużo, ale to, co wyżej, napisałem z punktu widzenia człowieka, któremu dziś raczej nie grozi rzeczywisty głód. I napisałem do ludzi którym to też nie grozi. Ale co mogę powiedzieć komuś, kto i wcześniej miał poważne kłopoty, a nagle staje wobec faktu, że nie ma literalnie niczego, do dania swoim dzieciom na śniadanie, a do tego nie ma widoków na dostanie jakiegokolwiek zarobku. Zwracanie się do instytucji dobroczynnych nie zawsze daje wynik, zwłaszcza wynik szybki, koniecznie potrzebny. Taki człowiek powinien nie wstydzić się i przedstawić swoją sprawę w jakimś sklepie, w restauracji w hotelu. Przedstawić z powagą i mocą. Tyle jedzenia marnuje się w świecie. Zauważyć gdzie się marnuje i powiedzieć. Nie wyrzucajcie, dajcie to mnie i mojej rodzinie.

Tyle do potrzebujących w warunkach europejskich. Do - niezależnie od światowych wzrostów i kryzysów - umierających z głodu lub pragnienia w Afryce, nie piszę. Nie dotrze do nich mój artykuł. Im zresztą nie potrzeba prasy ani dobrej rady. Im potrzeba konkretnej i całkiem inaczej zorganizowanej pomocy.

\* \* \*

A jak my, co bywamy głodni tylko w cudzysłowie, gdy po prostu zamiast szynki budżet nas zmusza jeść kaszankę, a zamiast zamawiać suknię u krawcowej idziemy z żoną zaopatrzyć się w odzież tam, gdzie ją sprzedają na sztuki lub kilogramy, jak mamy się odnieść do potrzeb tych właśnie najbardziej dotkniętych. Może znamy jakąś prawdziwą instytucję dobroczynną, która gromadzi środki nie na uposażenie swoich działaczy, ale na pomoc potrzebującym? Jeśli tak, to możemy po prostu systematycznie

wspomagać działalność tej instytucji. Ale takich jest niewiele. Skuteczniejsze jest rozejście się w świecie. Ludzie nieraz z honorem ukrywają swoją skrajną biedę. Spotykamy potrzebujących na ulicy w sklepach... Ze spotkanymi rozmawiamy z prawdziwym zainteresowaniem ich sprawami. Może komuś możemy dać coś z nam już niepotrzebnego ubrania lub sprzętów domowych. Może gdzieś właściwym będzie prezent gwiazdkowy w postaci koperty z kilkoma banknotami. Może dawać ich dzieciom od czasu do czasu „wałówkę”, a może udzielić bezpłatnej korepetycji? Znacznie lepsza jest pomoc bezpośrednia niż poprzez innych, poprzez organizację.

I jeszcze jedna ważna uwaga. Na stacjach autobusowych, dworcach kolejowych lub po prostu na ulicach spotykamy ludzi, proszących nas o złotówkę lub nawet mniej bo zbierają na kupno bułki, lekarstwa, biletu... Jeśli ich nie znamy, nie dawajmy nigdy pieniędzy. Większość z nich to nałogowcy lub inni oszuści zbierający na wódkę, narkotyki... Gdy proszą, stracmy chwilę czasu i zaproponujmy im kupienie w sklepie bułki czy kawałka paszтетówki, a jeśli nas stać, zafundujmy danie w barze. Gdy który chce biletu, na który nas stać, kupmy go nie w kasie ale u konduktora przy pociągu; niewiele droższy, a nie można go z powrotem wymienić w kasie na pieniądze. Przekonamy się wtedy, jak wielu z nich podziękuje, że „nie śmie nam zajmować czasu”, abyśmy z nim chodzili. Ten, który naprawdę potrzebuje danej rzeczy, pójdzie z nami do sklepu, czy do apteki.

\* \* \*

Niech strach odczuwają ci, co gardzą Bogiem. Oni rzeczywiście powinni się bać i to nawet przy największym dobrobycie.

My nie poddajmy się lękom. Niech nas nie zwodzi światowe oszustwo, że szczęście ludzkie polega na stałym wzroście gospodarczym. Taki stały wzrost jest po prostu niemożliwy. A ponadto szczęście człowieka tylko w drobnej mierze jest uzależnione od dobrobytu. Zdrowie duszy, a i zdrowie fizyczne, prawdziwe sympatie ludzkie, zadowolenie z własnej postawy życiowej z tego cośmy solidnie zrobili, czy to jako rolnicy, czy rzemieślnicy, artyści, kupcy, urzędnicy jest znacznie ważniejsze dla wewnętrznego zadowolenia z życia. Cieszy też przyjaźń ludzka, gdy jest samoistna i szczerą. O spotkanie z taką przyjaźnią warto się modlić.

Może zapowiadane skutki kryzysu są taką samą mrzonką jak ciągły wzrost gospodarczy całego świata. A może rzeczywiście one nas dotkną. Będzie jak Bóg da. A my wszelkie zmiany na gorsze czy na lepsze przyjmijmy jak wypada chrześcijanom. I pamiętajmy zawsze o innych, którzy mają swoje problemy, może gorsze od naszych. Pomyślmy aktywnie o nich i to nie tylko, jeśli nadciągają skutki kryzysu.

*stary mariawita*





## Z przedstawionych nam problemów **JAK ODNOWIĆ OBRAZ MSZY ŚWIĘTEJ?**

*Pobudzony zespołem wątpliwości postawionych przez naszego czytelnika w zeszycie 63 na st.12 „Pracy nad sobą” napisał do nas brat kapłan Antoni z Francji. Jego list nie zawiera konkretnej odpowiedzi na postawione tam pytania, przedstawia jednak myśli jasno oświetlające główny problem. Tę wypowiedź zamieszczamy jako przygotowanie do pełniejszej odpowiedzi, którą mamy nadzieję przygotować do któregoś z najbliższych zeszytów.*

Ośmielę się przedstawić obraz dzisiejszych problemów z przeżywaniem Mszy Świętej w analogii do butelki znajdującej się w źródlanym strumyku. Pięknie udekorowana butelka jak wielu chrześcijan ubranych do kościoła, ale jest zamknięta korkiem. Jak może wpłynąć do niej kryształowo orzeźwiająca i źródłana woda strumyka? Źródło Uczty Paschalnej, Jezusowej Męki, Zmartwychwstania nie pokrzepi ani wyobraźni, ani uczuć, bo wola formalnie ochrzczonego uczestnika nie zdecydowała otworzyć butelki swego świata wewnętrznego na obfitą Miłość Boga.

Sucha teologia mówi nam o układzie słów i gestów kapłańskich działających „*ex opere operato*”. A przecież celebrowanie Eucharystii jest dziełem Jezusa uświęcane mocą Ducha Świętego. Rola postugi kapłańskich czynności jest drugoplanowa „*ex opere operantis*”.

Ewangelia Świętego Łukasza (5:4) opowiada jak Piotr nie widział nawet śladu ryb. Ale na słowa Jezusa „wyptnij na głębię”, odpowiedział: „Na Twoje słowo zarzucam sieci”. I potów był wielki. Podobnie my musimy wyptywać na głębię.

Na Twoje Jezu słowo: „Wstępuje do Ołtarza Bożego”, - wypowiada kapłan rozpoczynając Mszę Świętą. Jeśli kapłan odprawia świadomie, takie jest jego ofiarnicze pragnienie. Owo intencjonalne zjednoczenie kapłana z wolą Bożą, jest ogromnej wagi, choć nie jest widoczne zewnętrznie.

Kapłan mówi: Na Twoje słowa, Jezu, wypowiadam: „bierzecie i jedzcie”, przyjmuję i spożywam. Dzięki słowom Jezusa: „To czyńcie na moją pamiątkę”, kapłani uobecniają ofiarę, mszalną. Można je słyszeć, można je czytać, ale aby przeżyć (czy to w ciszy, czy przy śpiewie i tańcu w buszu Afryki) tchnienie Serca Jezusowego podczas Ostatniej Wieczerzy, trzeba aby głód i smak wiary spowodował otwarcie butelki wnętrza serca ochrzczonego.

Fenomen uczestniczenia we Mszy Świętej jako Ofiary Bezkrwawej Zbawiciela, to chęć bycia, przebywania we Wspólnocie Wieczernika, u stóp Krzyża na Golgocie i z Jezusem Zmartwychwstałym.

Jeśli każda praktykująca rodzina izraelska uczestniczyła w świętowaniu Paschy, a w jej to ramach dokonuje się Ostatnia Wieczerza; jeśli dwaj uczniowie cieszyli się sercem i umysłem przy łamaniu chleba w Emaus, chociaż wcześniej usłyszeli krytykę swojego niedowiarstwa; jeśli każda Msza Święta jest zadatkiem eschatologicznej uczyty w Bogu, to jaką jeszcze można nadać oprawę artystyczną temu fenomenowi?

Bez przyłgnięcia wiarą, nadzieją i miłością do sakramentu Eucharystii trudno mówić o obrazie Mszy Świętej, a jeszcze trudniej bez tej postawy wewnętrznej uczestniczyć w niej owocnie.

Wybieram uczestniczenie i pokorne sprawowanie Mszy Świętej w duchu wiary i Tradycji Wieczernika. „Panie nie jestem godzien... ale powiedz tylko słowo, a będzie zbawiona

dusza moja”. To też nie boję się mówienia o grzechach w mszalnej nauce. Może właśnie w następstwie wspomnienia o grzechach pokorniej wypowiem słowa świętego Jana Chrzciciela: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata” zmiłuj się nad nami - deklarowane przed przyjęciem Komunii Świętej?

W dokumencie chrześcijan z pierwszego wieku *Didache* jest napisane: „*W dzień Pański (niedzielę), gromadźcie się na łamaniu chleba i na składanie dziękczynienia; ale przede wszystkim wyznajcie wasze grzechy, by wasza ofiara była czysta. Gdy zdarzy się komuś pokłócić ze swoim bratem, niech nie dotacza się do zgromadzenia bez uprzedniego pojednania, by wasza ofiara nie była brudną. Ponieważ mamy słowa Pana: „Wielkie jest imię Moje między narodami, a na każdym miejscu dar kadzielny będzie składany imieniu Memu i ofiara czysta” (r.14)*

\* \* \*

Redaktor naczelny „L’Humanite”, Andre Frossard, ateista wszedł na chwilę do kościoła szukać swego kierowcy i jak wyznaje w swojej książce, to wówczas dotknęła go cisza osób adorujących Najświętszy Sakrament. Nie było tam ani Gospel Music, ani kazania psychologicznego.

Cieszę się troską autora o zdynamizowanie przeżycia Mszy Świętej. Swoimi pytaniami zachęcił mnie do zadumy i wypisania tych nieskładnych myśli.

Składam tu świadectwo z osobistego doświadczenia celebrowania Mszy Świętej w ojczyźnianych wsiach i miastach, nad Sekwaną, nad Tamizą, w Rzymie, w Jerozolimie, z więźniami Paryża, półnagimi więźniami więzienia afrykańskiego oraz w cieniu drzewa sawanny przy rytmie bębnow.

Zatroskany byłem przede wszystkim, by być wierny Jezusowej intencji i formom świętej liturgii...

Osobiście nie marzę odnawiać, ani nie potrafię wyobrazić sobie jakiegokolwiek elementu Sakramentu Eucharystii, by miał braki w oddawaniu czci Bogu, w uświęcaniu ochrzczonych. Jest wiele rytów i liturgii chrześcijańskich, w których uczestniczący i sprawujący kapłan otrzymują dary łaski życia z Miłosiernym Bogiem. Moim częstym pragnieniem jest „nawracać” (się) do głębi Jezusowego planu: - „Pragnę spożywać z wami tę Paschę...”; pragnę odkrywać głębię przekazaną przez apostołów, męczenników, ojców Kościoła, świętych.

*Antoni Piekut*



## **DWA AFORYZMY**

*Chcielibyśmy się stać kims - nie tyle przez wzgląd na przyjaciół, co na wrogów.*

*U prawdziwego człowieka najbardziej cenne jest to, co jego duma pozwala mu powiedzieć.*

Honorata Korpikiewicz





\* \* \*

Czasu szkoda i zdrowia pewnie też  
Zabawa trwa więc w najlepsze,  
Bo wszyscy żyją dalej.  
Ależ są przez to głupi...  
- żyją, ale nie wiedza po co!  
Podłość kieruje porodami.  
- tak właśnie głupcy i mędracy przychodzą na świat.  
Czy pięknym jest? Czy też może skażonym?  
Ekologii w to nie mieszajmy...  
Inna rzecz - spojrzenie kłarownie filozoficzne,  
(ach) ta głębia z niego bijąca.  
Któż zdoła ją przeniknąć do końca?  
Spuśćmy zatem w dół anielskie liny.  
Oto szansa jedyna na kontakt z Nim...  
Wszechświat też tam jest,  
Ale tu wypadaloby sięgnąć po niekończące się drabiny.  
Skandal!  
Tacy małi i szarzy,  
A stopy swe śmierzzące wtykają ponad głowę  
Najwyższego.  
I to błędem naszym największym...  
W bezkresie tym imienia Jego nawet nie pamiętamy...  
Zadaj sobie człowieku jak sam na imię masz.

(09.07.2008 - 15.50)

Damian Kraśny



## DWUGŁOS O USTANIU OFIARY

### *Co jest zapisane w objawieniach Mateczki*

W moim artykule opublikowanym w roku 2009 w majowym zeszycie „Pracy” (zeszyt 53. S.26-30) omawiającym poglądy doktora Marcina Karasa zapowiedziałam, że sprawę doktryny mariawickiej zwanej w utartym określeniu „ustaniem Ofiary” omówię oddzielnie. Czekalam na zapoznanie się z oficjalną wypowiedzią w tej sprawie udzieloną przez Kościół Starokatolicki Mariawitów w czasie obrad Komisji Mieszanej rzymsko-mariawickich. Było to trzy lata temu. Informowano mnie, że tom z tą wypowiedzią jest gotowy do druku od kilku lat i dyskutuje się jeszcze tylko nad pewnymi szczegółami wydawniczymi. Nie spodziewałam się, że ów tom - wprawdzie z datą 2007 - ukaże się dopiero w roku 2011, a ja dostanę jego egzemplarz ledwie w roku obecnym. Stąd dopiero w spóźnionym terminie mogę się wywiązać z obietnicy. Oficjalne, opublikowane mariawickie wyjaśnienie tej kwestii okazało się zupełnie zgodne z moimi poglądami, co nie jest niczym dziwnym, gdyż formowały się one pod wpływem rozmów z bratem kapłanem Tadeuszem i innymi mariawitami biorącymi bezpośrednio lub pośrednio udział w obradach tej komisji.

Ponieważ dwuwyzrazowe, tradycyjne już sformułowanie „ustanie Ofiary” wywołuje często nieporozumienia, wypiszę najpierw - może nie wszystkim znane - słowa objawienia, które dotyczą tej sprawy:

- [...] *To się stosuje i do naszych ojców.* (notatki z objawień [...] z roku 1918 akapit 7)
- *W Kościele Rzymskim Ofiara ... Pan Jezus we Mszy Ś(wię)tej ... „zostawi dom ich pusty”. Uczyni to dla większej chwały Bożej, żeby więcej nie był znieważany Baranek. Nie od razu we wszystkich kościołach, bo jeszcze ma dusze miłujące Go i kapłanów, którzy z czystym sumieniem i z miłości, nie za pieniądze odprawiają Mszę Ś(wię)tą. Zacznie się od Rzymu) w dniu, w którym był wydany dekret, żeby z korzeniem zniszczyć zgromadzenie kapłanów. Odtąd zacznie się*

*spustoszenie - najpierw duchowe, a potem zewnętrzne. (tamże - akapit 8 i 9)*

- [...] *Kto by się odważył w grzechu nieczystym odprawić Mszę Świątą, nie zstąpi Pan Jezus na jego słowa, żeby nie był znieważany, ale temu kapłanowi poczyta na sądzie jego złą wolę. Jeżeli się będzie tego dopuszczał na swojej parafii, to Pan Jezus wykorzeni go, żeby nie oszukiwał ludu Jego. [...]* (tamże - akapit 12)

Trzeba tu powiedzieć, że zacytowana fraza z akapitu 7 bywa różnie interpretowana. Niektórzy ją odnoszą tylko do poprzedzających zdań o utracie władzy kapłanów nad duszami ludzkimi, inni - do całości prorocत्व (jeśli kogoś razi określenie „prorocत्व” to niech zastąpi je wyrazem „przewidywać”) dotyczących koniecznych zmian w stylu pełnienia funkcji kapłańskich, wynikających z przełomu epok kulturowych. Ważnym argumentem za tym drugim stanowiskiem jest treść zacytowanego wyjątku z akapitu 12, który odnosi się w każdym razie *również* do kapłanów mariawitów, jeśli nie *przede wszystkim* do nich. Te objawienia wyraźnie dotyczą całości chrześcijańskiego kapłaństwa, a nie tylko Kościoła Rzymskiego, który jest wspomniany jedynie jako ten, w którym się wprawdzie najpierw objawi zło, ale to nie znaczy, że objawi się tylko w nim lub, że w nim będzie najsilniejsze.

Zauważmy, że objawienie używa czasu przyszłego „Zacznie się [...]w dniu, w którym był wydany dekret, żeby z korzeniem zniszczyć zgromadzenie kapłanów”. Potępiający dekret był wydany dnia 3 sierpnia 1904 roku, objawienie dane w dniu 15 sierpnia 1918, a więc już po dacie 3 sierpnia. Z tak sformułowanego tekstu nie wynika, czy przepowiednia przewiduje początek jej wypełniania się od 3 sierpnia roku 1919, czy w nieokreślonej, dalszej przyszłości. W każdym razie pojawiające się w niektórych kręgach mariawickich przekonanie, że ogólnie w Kościele Rzymskim od roku 1904 Msza Święta przestała być ważna, nie znajduje umotywowania w objawieniach Mateczki.

Zastanowimy się, czy w działaniach różnych kościołów - nie wyłączając Kościoła Mariawitów - nie da się już spostrzec tu i ówdzie spustoszenia duchowego w dziedzinie *sacrum* i następującego za tym spustoszenia zewnętrznego, wyludniania kościołów, klasztorów i duchownych seminariów. Ale wpieryw chcę omówić problem wynikający tu z doktryny Kościoła Powszechnego.

Sprawa ważności czynności sakralnych, a w naszym przypadku rzeczywistej obecności Chrystusa w Mszy Świętej, w Eucharystii jest różnie rozumiana w poszczególnych Kościołach należących do rodziny katolickiej, to znaczy w jednostkach religijnych przyjmujących doktrynalne sformułowania soborów powszechnych wspólnych dla wschodu i zachodu. Wszystkie te Kościoły przyjmują zasadę *ex opere operato*, znaczącą po polsku, że *skutek następuje z dokonanego działania*. A więc jeśli zachowane są przepisane sakralne czynności, zachodzi duchowe działanie niezależnie od usposobienia ani sumienia osoby duchownej sprawującej daną czynność. Za przeciwną zasadę uważa się *ex opere operantis* znaczącą, że skutek jest wywołany przez tego, który działa. Ta druga zasada może mieć oczywiście w dziedzinie sakralnej tylko ograniczone zastosowanie. Kapłan nie może własnym działaniem spowodować zstąpienia Boga na ołtarz w czasie Mszy Świętej. On może jedynie przygotować sytuację, powodującą, że Bóg zechce zstąpić. Pierwsza zasada odnosi się do skuteczności danej czynności w uzależnieniu od sił działających obiektywnie, druga o skuteczności zależnej od właściwości, zdolności i sumienia jednostki ludzkiej.

Aby wszystko było jasne w interesującym nas zagadnieniu, wystarczy tylko określić warunki zewnętrzne potrzebne do ważności Mszy Świętej. Są dwa główne: 1) sprawowanie jej według określonych obrzędów, zatwierdzonych przez Kościół dla uświęcenia jego członków, 2) sprawowanie jej przez osobę upoważnioną do tego celu przez Kościół.

Istnieją liczne rytury liturgiczne i liczne ich odmiany, czyli obrządku używane przez poszczególne kościoły. Na ogół teolodzy się zgadzają, że do ważności Eucharystii trzeba wypowiedzianych nad chlebem słów w imieniu Chrystusa „to jest Ciało Moje” i nad winem „to jest Krew Moja” względnie „to jest kielich Krwi Mojej”. Tam jednak, gdzie tylko to możliwe i kiedy tylko możliwe, wymaga się również modlitwy do Boga Ojca, wezwania Ducha Świętego i innych modlitw. Tu różnice między poglądami różnych kościołów katolickich istnieją ale są znikome.

Większe są różnice pomiędzy poglądami na ważność kapłaństwa. Niektóre kościoły wschodnie uważają, że tak jak Kościół powołuje na kapłaństwo, tak może i z niego odwołać. Od chwili, gdy dany kapłan zostaje uznany za niegodnego i jest zasuspendowany, przestaje być kapłanem. Czyli jakiegokolwiek jego zewnętrzne czynności sakralne przestają mieć działanie duchowe, są nieważne. Jest on jak elektryczna lampa wyłączona z sieci; nie może dać światła, choć



pozostaje lampą. Inaczej widzi to większość kościołów zachodnich. Nie można nikomu odebrać raz nadanego kapłaństwa. Kapłaństwo uważa się tu za pewnego rodzaju nierozzerwalny kanał pomiędzy danym osobnikiem a rzeczywistością duchową. Jeśli kapłan zasuspendowany wbrew zakazowi Kościoła sprawuje jakieś czynności, to uważa się je za ważne, choć dokonane niegodnie.

Ale tu jednak zaczyna odgrywać pewną rolę również zasada *ex opere operantis*. Jeśli mianowicie kapłan odprawia Mszę Świętą w innym celu niż przewidziany przez Kościół, czy zachowane są wtedy zewnętrzne warunki jej ważności? Rozpatrzmy skrajne przypadki. Kapłan stał się satanistą. Odprawia obrzędy mszalne w otoczeniu innych satanistów po to tylko, aby uzyskać konsekrowaną hostię dla sprofanowania jej w satanistycznym obrzędzie czarnej mszy. Czy Chrystus zstępuje wtedy na ołtarz? Albo kapłan, który stracił wiarę i jest ateistą, dla zabawy wymawia w speluncie prawidłowe słowa przeistoczenia nad otwartą butelką wina wypijając je potem w czasie wesołej rozmowy z kompanami. Co wtedy? Dla poglądów wschodnich sprawa jest oczywista. Kapłan wyłączył się sam z Kościoła, a więc wszystkie jego czynności są nieważne. Dla poglądów zachodnich sprawa jest bardziej skomplikowana. Mówiono mi o teologach, którzy twierdzą, że w obu przytoczonych przypadkach konsekracja jest rzeczywistością, że Chrystus musiał (!?) zstąpić, bo tak przyrzekł. A inna rzecz, że kapłan profanując świętą czynność popełnia śmiertelny grzech przeciw Duchowi Świętemu. Ale są też tacy - dziś chyba większość - którzy powiadają zdecydowanie, że przecież zewnętrzne obrzędy dotyczące Eucharystii, dokonywane dla innego celu niż uświęcenie człowieka, nie są wykonywane właściwie. Kapłan nie może więc tu polegać na zasadzie *ex opere operato*. Działa jedynie własną ludzką mocą *ex opere operantis* i nadaremnie usiłuje korzystając z niej zmusić Boga, aby się przybliżył. W sprawach mniej skrajnych opinie bywają podzielone.

Gdy Kościół decydował o przyjęciu doktryny działania sakramentu *ex opere operato*, ateści byli rzadkością. Mało też było kapłanów, którzy by świadomie odprawiali Mszę Świętą w innym celu niż uświęcenia wiernych. Spełniony był zawsze warunek, że wśród uczestników liturgii mszalnej byli ludzie wierzący i pragnący zbawienia.

Relacjonując objawienie Mateczka pisze, że ofiara mszalna będzie w wielu miejscach nadal sprawowana ważnie, bo Zbawiciel „jeszcze ma dusze miłujące Go i kapłanów, którzy z czystym sumieniem i z miłości, nie za pieniądze odprawiają Mszę Ś(więtą)”. Wszędzie tam, gdzie odprawiają kapłani z wiarą, dla uświęcenia

wiernych a nie dla zarobienia pieniędzy, wszędzie tam, gdzie chrześcijanie przyjmują Komunię Świętą z potrzeby pobożności, a nie dla tradycji, przyjmują w Eucharystii prawdziwe Ciało i Krew Zbawiciela. Ale w przeciwieństwie do dawnych czasów coraz więcej jest miejsc spustoszonych duchowo, gdzie rodzice chodzą do kościoła już tylko dla dania dobrego przykładu dzieciom, bo „dzieci wychowywane przez Kościół są grzeczniejsze”, a dzieci robią to tylko po to, żeby zadowolić rodziców, zaś kapłan przestał wierzyć w nieśmiertelność duszy, w niebo i w sąd ostateczny, a odprawia tylko dlatego, że to jest jedyny fach, jakiego się nauczył i gdzieś mu szukać innej pracy zarobkowej... W następstwie tego w wielu częściach Kościołów Chrześcijańskich i w całych Kościołach, następuje pomału również spustoszenie zewnętrzne. Ludzie omijają kościoły...

Są przeciwnicy Dzieła Miłosierdzia, którzy uważają, że to objawienie Mateczki o spustoszeniu zwane może niezbyt szczęśliwie doktryną „ustania ofiary” z roku 1918 jest fałszywe i sprawdzić się nie może. 90 lat temu nasi przodkowie nie sądzili, aby mogło się dzieć to, co się teraz dzieje. Ale czy dziś widząc, co się dzieje, można wątpić w jego prawdziwość?

Za konsultacje przy pisaniu tego artykułu gorąco dziękuję znajomym - pragnącym pozostać anonimowymi - duchownym kilku tradycyjnych kościołów katolickich w Polsce i za oceanem. Dzięki nim udało mi się sformułować pewne tezy pewniej i prawidłowiej, niż umiałabym to zrobić sama.

*Tatiana Romenko*

P.S.

Taka mała uwaga, za którą tylko ja osobiście biorę odpowiedzialność. W objawieniu Dzieła Miłosierdzia zwrotu „*zostawię dom ich pusty*” znanemu z kilku miejsc w Piśmie Świętym, a najbardziej z Ewangelii świętego Mateusza (23:38) użył Bóg w stosunku do Kościoła Rzymskiego, wrogiemu temu Dziełu. Niektórzy mariawici uważają, że oznacza to już na zawsze pozbawienie tej organizacji łaski Bożej. Otóż niejako z drugiej strony tę samą treść percypuje pozostająca w owym Kościele święta siostra Maria Faustyna, choć w objawieniu niższego stopnia - zmysłowym. Zapisuje ona w *Dzienniczku* - w miejscu oznaczanym obecnie jako akapit 44 - następujące wydarzenie. Jak można wnosić z kontekstu miało ono miejsce w roku 1929 lub 1930. „*W pewnej chwili powiedział mi Jezus <<Opuszczę ten dom... ponieważ są w nim rzeczy, które mi się nie podobają>> i wyszła Hostia z tabernakulum i spoczęła na rękach moich*” Święta Faustyna po trzykroć wkłada Hostię z powrotem do tabernakulum i po trzykroć Jezus je opuszcza. Wreszcie gdy słyszy słowa <<Ja dłużej tu nie zostanę>> odpowiada <<a ja nie puszczę Cię, Jezu, z domu tego>> i wtedy Pan Jezus pozostaje w tabernakulum, a

siostra Maria Faustyna rozpoczyna adorację wynagradzającą. W przypisach wydania z roku 1979 jest napisane, że nie wiadomo co i gdzie się Panu Jezusowi nie podoba. No cóż, nie czytali objawień Mateczki. Dla mnie istotne jest to, że Zbawiciel tymczasem zostaje „w domu” ze względu na błaganie kochającej go duszy. „*Ma duszę miłującą Go*” jak to jest powiedziane Mateczce. W Ewangelii świętego Mateusza „opuszczenie domu” - kościoła Zakonu Mojżeszowego, Synagogi też nie jest ostateczne i bezwarunkowe. Po słowach „*pozostawię dom wasz pusty*” następują dalsze, niosące nadzieję: „...*aż rzeczenie <<Błogosławiony który idzie w Imię Pańskie>>*” Nigdy nie sądzmy, że Bóg nieodwołalnie odmawia swej łaski komukolwiek lub, że kogoś nią trwale obdarza nie stawiając mu żadnych warunków. Kiedy są obecni chrześcijanie, podobnie jak siostra Maria Faustyna wielbiący Przenajświętszy Sakrament, wtedy w czasie liturgii eucharystycznej uczestniczy sam żywy Chrystus.

T.R.

=====

## *Czy to jest objawione tysko mariawitom ?*

Cieszę się, że mogę dopisać tu kilka uwag związanych z artykułem siostry Romenko, ale dotyczących głównie artykułu brata Nowaka z poprzedniego zeszytu „Pracy nad sobą” (zeszyt 64 s. 16) oraz wiążących się z problemami przedstawionymi w zeszyt 63 (s. 12) przez brata Habdank-Wojewódzkiego. Mianowicie otrzymujemy nie całkiem jasny obraz problemu, gdy go przedstawiamy tak, jakby wiedza o tym, co zawiera się w nie dla wszystkich zrozumiałym skrótce „ustanie Ofiary” była ugruntowana tylko na jednym jedynym objawieniu świętej Marii Franciszki z sierpnia 1918 roku. Nie będę tu wspominał o tym, że liczne „nieortodoksyjne” wyznania chrześcijańskie, chyba od czasów apostołskich, a w każdym razie od chwili, gdy chrześcijaństwo stało się oficjalnym wyznaniem Cesarstwa Rzymskiego, domagały się prawdziwej wiary i pobożnego życia kapłanów, a niejednokrotnie odmawiały uznawania za ważne czynności duchownych, których sposób życia lub poglądy doktrynalne (!) nie odpowiadały ich wymaganiom, czasem fanatycznym i trudnym do spełnienia. Chrześcijaństwo się rozwijało równoległymi torami. Z jednej strony misteryjne wtajemniczenia przy chrzcie i innych sakramentach opisane przez osobistość zwaną dziś Pseudodionizym Areopagitą. Z drugiej - masowe sakramenty i nabożeństwa, w których uczestniczył każdy, kto kiedyś zznał coraz formalniej traktowanego sakramentu chrztu. Jak to napisała siostra Romenko, ongiś każdy w coś wierzył. Wiara bywała czasem głęboka czysta i bezinteresowna, czasem zabobonna, czasem zgoła materialistyczna, ale jakaś zawsze była. W

tej epoce, gdy istnieli i oddani mistyce uczniowie na górze Karmel, i ascetyczni ojcowie pustyni, choć nie brak było i biskupów przy dworze cesarskim składającymi na siebie nawzajem groźne donosy, można było sformułować zasadę *ex opere operato*. Dziś można logicznie pokazać, że ówczesne warunki nie są spełnione, można też dojrzeć, symptomy zewnętrznego spustoszenia. Mateczka była pierwszą, której już wieku XIX została dana łaska odczytania w percepcji nadmysłowej zbliżania się tych spraw, które zewnętrzną obserwacją daje się poznać dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. Ale nie była jedyną.

W tym czasie działał w Europie doktor filozofii Rudolf Steiner, autor cenionych, twórczych dzieł filozoficznych, a zarazem człowiek obdarzony widzeniem światów duchowych. Miał zwyczaj nie narzucać się nikomu z wiedzą, jaką zdobywał w ponadmysłowym oglądzie, ale gdy ktokolwiek - artyści, nauczyciele, lekarze, rolnicy... - zwracali się do niego o rady, udzielał ich czerpiąc światło ze świata duchowego. Jego praktyczne rady okazywały się niezmiernie skuteczne i do dziś rozpowszechniają się w świecie, często nie bywając nawet łączone z jego osobą. W latach pierwszej wojny światowej zwrócili się do niego o poradę dwaj starokatolicki duchowni Constantin Neuhaus i Hugo Schuster. O wiedzy, jaką im Steiner przekazał w rozmowach i w listach, brak notatek. Wiadomo tylko, że na prośbę drugiego z nich Steiner dokonał tłumaczenia najważniejszych części stałych Mszy Świętej trydenckiej na język niemiecki oraz nakreślił właściwy rytuał obrzędów pogrzebowych. Obu księżom trudno było znaleźć zrozumienie u współkapłanów starokatolickich, tkwiących wówczas bardzo silnie w formalistycznych nawykach rzymskokatolickich. Ostatecznie przedwczesna śmierć kapłana Schustra w roku 1925 zakończyła osobiste kontakty Rudolfa Steinera ze starokatolicyzmem.

Zakończenie pierwszej wojny światowej, które było przegraną jeśli nie polityczną, to gospodarczą lub moralną wszystkich mocarstw europejskich, wywołało zadumę wielu wierzących. Chrześcijanie spostrzegli, że ich religia w wielu przypadkach jest słaba i drętwa, że zbyt ulega wpływom tego świata. Wywołało to powstanie wielu nowych sfanatyzowanych grup chrześcijańskich, ale też powstawania gdzieś tam centrów głębokiej chrześcijańskiej refleksji. Również w Niemczech, które szczególnie silnie przeżyły negatywne skutki wojny, powstała grupa 45 osób - przeważnie ewangelików - świeckich i duchownych. Wymienić tu można dla przykładu choćby dwóch:

znanego kaznodzieję Friedricha Rittelmeyera i późniejszego znakomitego biblistę Emila Bocka. Były w grupie zarówno osoby o ustalonym statusie społecznym jak i młodzież obojga płci. Wszyscy pragnęli dać nowy impuls chrześcijaństwu nie własnymi siłami i pomysłami - jak to robił Luter i inni dotychczasowi reformatorzy Kościoła - ale pozyskać w tym celu kontakt z żywym światem duchowym. Mojżesz otrzymał na górze Synaj nie tylko 10 przykazań moralnych, ale również wzorce właściwego dla ówczesnej epoki kultu. Tego świadomie lub podświadomie pragnęli członkowie tej grupy.

W roku 1920 jeden przedstawiciel tej grupy, Johannes Werner Klein, usłyszawszy o Rudolffie Steinerze postanowił go odwiedzić i przyrzeć się jego działalności. Po wysłuchaniu jednego tylko jego wykładu poprosił go o rozmowę i uzyskał jego istotne zainteresowanie sprawą. Był to rok, gdy Mateczka ofiarowała Bogu swoją rozwijającą się chorobę - za swój dom zakonny, za kraj i za świat. Osobliwe, że z powodu duchowych trudności Klein nie umiał nawet właściwie zreferować innym swojej rozmowy ze Steinerem. Powstały też - mimo dobrej woli wszystkich - inne trudności i nieporozumienia. Było to tak jakby Boża Opatrzność postanowiła wpierw zobaczyć, czy dzieło Mateczki zostanie wykorzystane przez tych co przejmą je po niej w swoje ręce, czy też okaże się pożyteczne stworzenie nowego ogniska żywej łączności z Chrystusem. Coś powstrzymywało świat ducha przed zawiązaniem nowej organizacji. Członkowie grupy byli gotowi, ale duchowy impuls z góry jeszcze nie nadchodził.

Może ktoś szczegółowo kiedyś opíše równoległe w czasie wydarzenia w mariawityzmie i w grupie przygotowującej się do zawiązania dzisiejszej Wspólnoty Chrześcijan. Tu tylko wspomnę kilka faktów. Właśnie w roku śmierci Mateczki grupie udało się zorganizować pierwszy kurs duchowej teologii, ale bez zawiązywania jeszcze konkretnej organizacji. W roku 1922 zaczęły się rysować pierwsze poważniejsze rozbieżności w poglądach kierownictwa mariawickiego. Tematy tych rozbieżności, sposób ich wyrażania wskazywały, że mariawityzm nie jest zdolny prowadzić misji odnowionego chrześcijaństwa nawet w jednym kraju, a tym bardziej w świecie. I w tym właśnie roku powstała Wspólnota Chrześcijan jako konkretna organizacja liturgiczna. Zostali wyświęceni pierwsi kapłani. Rozwijała się jej struktura i w roku 1925 wraz z objęciem przez Friedricha Rittelmeyera funkcji arcywierzchnika (odpowiednik prymasa) została ukończona. W tym czasie u mariawitów pojawiły się

właśnie pierwsze silne sprzeciwy wobec wprowadzenia małżeństw duchowieństwa...

Pierwszym członkom Wspólnoty Chrześcijan wychowanych w tradycjach ewangelickich nie łatwo było przyjąć wiedzy duchowej, że do prawidłowej liturgii potrzebne są szaty liturgiczne, liturgiczne gesty, słowa, kadzidło, że trzeba ukształtowanego ołtarza z odpowiednio ustawionymi świecami... Wszystko to wydawało się im z początku zbyt „katolickie”, a więc papieskie, obce. Doktor Steiner umiał im jednak wyjaśnić, że dawne kapłaństwo zamiera, ustaje, że istnieje jeszcze w niewielu miejscach, gdzie duchowni i świeccy potrafią się wznieść do realnego kontaktu z Chrystusem. Trzeba nowego żywego chrześcijaństwa. Trzeba nie zaniechania obrzędów, ale ich odnowienia, powiązania nie tylko z wiarą ale i żywą wiedzą o sprawach ducha. Potężne działania duchowe powinny być w Kościele powiązane z właściwymi zewnętrznymi rytuałami.

O „Ustaniu Ofiary” mariawici dowiedzieli się w ostatnim objawieniu percypowanym przez Mateczkę. Założyciele Wspólnoty Chrześcijan dowiedzieli się o tym jako o pierwszej ważnej prawdzie duchowej.

O innych sprawach Wspólnoty Chrześcijan możemy przeczytać w artykule brata Nowaka w poprzednim zeszycie „Pracy”. Tu tylko dodam, że dziwnie słabe są dzisiejsze mariawickie kontakty ze Wspólnotą Chrześcijan. Niewielu członków Wspólnoty należy do ekumenicznej gałęzi Zgromadzenia Mariawitów. Niewielu członków Wspólnoty odważa się przystępować do mariawickiej Komunii Świętej, gdy są daleko od swoich kościołów. Podobnie niewielu mariawitów odważa się na to samo, gdy niedostępne jest dla nich w danym czasie lub miejscu własne nabożeństwo. Jakbyśmy się bali: A może „u nich” wygasło kapłaństwo i ustała ofiara? Za mało się znamy. Jak dotąd, tylko jeden raz kapłan mariawicki był poproszony o odczyt o mariawityzmie w seminarium „Wspólnoty”, a przyszli na niego sami alumni. Nie było nikogo z profesorów, to też zabrakło istotnej dyskusji. Tylko jeden raz kapłan Wspólnoty Chrześcijan miał pogadankę w jednej z parafii mariawickich.

Warto by to zmienić. Zgromadzenie i Kościoły Mariawitów, są jakby ostatnim kwieciami na zdrowej gałęzi więdnącej naokół tradycyjności chrześcijańskiej. Wspólnota Chrześcijan, jest jakby wiosennym kobiercem kwiatów w budzącym się nowym powiewie impulsu Chrystusowego. Chyba obie organizacje zyskałyby przez wzajemne zbliżenie.

*St. F.*



# OMÓWIENIA, RECENZJE



## O rzetelność i prawdę



Z ogromnym zaciekawieniem czytałem materiały podsumowujące obrady Komisji Mieszanej do spraw dialogu między Kościołem Rzymskokatolickim i Kościołem Starokatolickim Mariawitów<sup>1</sup>. Publikacje te mają zalety i wady. Zaletą materiałów jest między innymi publikacja nieznanymi źródłami oraz prezentowanie nowych poglądów dotyczących ruchu mariawickiego i jego stosunków z ówczesnymi władzami Kościoła Rzymskiego. Wadą zaś oczywiście uchybienia formalne i merytoryczne, które na ten czas uniemożliwiły rzeczywistą ocenę tej problematyki. Mogę jedynie wyrazić ubolewanie z tego powodu, ponieważ nie prędko powstanie kolejna możliwość dotarcia do nowych dokumentów i dyskusji nad nimi. Na tym miejscu zajmę się jedną z usterek, które wykazują brak staranności Komisji w ocenie dokumentów publikowanych w tych materiałach.

W swoim czasie poddałem analizie jeden z dokumentów, który był przedmiotem oceny Komisji Mieszanej i odmówiłem rzetelności wielu znanym jego wersjom<sup>2</sup>. Uznałem, że wprowadzone do obiegu publicznego teksty *Mariawici wierzą* różnią się zasadniczo od siebie i wobec braku tekstu oryginalnego wszelkie dywagacje na temat treści dokumentu są nieuzasadnione. Obecnie w pierwszym z przywołanych opracowań Komisji Mieszanej<sup>3</sup> podano dwie wersje tego dokumentu: opublikowaną przez „Przegląd Katolicki” w 1906 r. oraz odpis oryginału tekstu łacińskiego znalezionej w archiwum watykańskim wraz z podpisami pod nim 33 duchownych mariawickich. Dla porządku przyznaję, że w przypisie - bez komentarza - odesłano też Czytelników do wskazanego przeze mnie w „Pracy nad Sobą” tekstu z „Dzieła Wielkiego Miłosierdzia” nie komentując jednak tego, co sam arcybiskup Kowalski napisał w tej kwestii. Pominięto więc - co jest istotne - tekst podany przez jego autora; może dla wygody Komisji? W konsekwencji członkowie Komisji z łacińskiego dokumentu „watykańskiego” wyprowadzają daleko idące wnioski co do idei mariawickiej, jak i przyczyn jej odrzucenia przez papieża.

Nie jest moim zamiarem w tym miejscu dyskusja z wywodami członków Komisji Mieszanej. Jednak lektura odpisu tekstu watykańskiego, dostarczonego i cytowanego przez stronę Rzymskokatolicką, nieco mnie zbulwersowała. Zastrzegam – watykański dokument *Mariavitae Credunt* znam jedynie z odpisu zamieszczonego w przywołanym opracowaniu. Ponieważ odpis jest autoryzowany przez stronę rzymską uznaję go za zgodny z oryginałem.

Moją uwagę skupiły nie treści dokumentu, lecz podpisy duchownych pod tym „mariawickim wyznaniem wiary”, jak ten dokument nazywają przedstawiciele strony rzymskiej. Należałoby je bowiem traktować jako oświadczenia woli i tym samym nadać całemu dokumentowi wielką wagę. Mam w związku z tymi podpisami kilka uwag i zastrzeżeń.

Większość księży-mariawitów podpisała się pod tym tekstem używając – w wersji łacińskiej – imion nadanych im na chrzcie oraz nazwisk. Od zasady tej odstępili (moim zdaniem bez uzasadnienia) jedynie księża: Stanisław Szokalski (pozycja 24) i Władysław Zbirochowicz (poz. 25) wpisując swe imiona w wersji polskiej. Może to budzić podejrzliwość, ponieważ obaj ci duchowni znali łacinę i znali sposób wpisywania swych imion przez duchownych, którzy podpisali się wcześniej. Jednak większe wątpliwości nasuwają inne podpisy. Oto na pozycji 9. widnieje podpis księdza Tomasza (w wersji łacińskiej - Tomas) KRAŚKIEWICZA. Księdza o takim nazwisku historia mariawityzmu nie zna. Z miejsca budzi to wątpliwości. Jeszcze większe zaś budzi fakt, że na pozycji 29. (na ogólną liczbę 33 podpisów) widniej podpis „FAB. JARZYMOWSKI”. Faktem jest, że w gronie kapłanów mariawitów istniał magister świętej teologii ksiądz Henryk Jarzymowski. Ale to się stało dopiero w grudniu 1907 r. Wtedy porzucił on Kościół Rzymski i w Zgromadzeniu Kapłanów Mariawitów otrzymał imiona Maria Fabian. Dokument *Mariavitae Credunt* miano przekazać najwyższym instancjom kościelnym w dniu 27.IV.1906 r.<sup>4</sup>. Powstaje pytanie skąd wobec tego podpis ks. Henryka Jarzymowskiego i to określonego już nadanym później imieniem zakonnym znalazł się w dokumencie datowanym na kwiecień 1906 r. ?!

Dokumentowi z tego rodzaju osobliwościami trzeba postawić zarzut niewiarygodności. Nie może on być przedmiotem dyskusji



merytorycznej i podstawą do wyprowadzania wniosków. Wszelkie zaś próby usprawiedliwienia treści watykańskiego odpisu dokumentu *Mariavitae Credunt* mogą prowadzić do kwestii wygłoszonej w swoim czasie w kabarecie przez Jana Kobuszewskiego „o jajeczku nie całkowicie świeżym”.

W dokumentach Komisji Mieszanej znalazłem próbę zrzućenia na mariawitów winy za niezgodności w tekstach Objawień Marii Franciszki dostarczonych do Rzymu. Mając na względzie powyższe ustalenia zastanawiam się, czy i te „niespójności” omówionego tu dokumentu zapisze się na karb mariawitów?! I na koniec moje uwagi:

- zbyt dużo ujawniono przekłamań w dokumentacji dotyczącej kwestii mariawickiej!!!
- za wiele wniosków wyprowadzono z nierzetelnych dokumentów.

Sławomir Gołębiowski

<sup>1</sup> *Ze źródeł kwestii mariawickich, nieznane dokumenty z lat 1903-1906*, Płock 2011 r. i *Dwustronna refleksja na temat podstawowych pism Matki Marii Franciszki Kozłowskiej dotyczących Dzieła Wielkiego Miłosierdzia*, Łódź-Włocławek 2006 r. (data wydania zapewne mylna - winno być 2011 r.)

<sup>2</sup> patrz: Sławomir Gołębiowski - *Mariavites Credunt - Mariawici wierzą* „Praca nad sobą” zeszyt 53 s.21-26.

<sup>3</sup> *Ze źródeł kwestii mariawickich* s.134-140.

<sup>4</sup> tamże s. 136

## Doktryna felicianowskiego mariawityzmu



Mam nadzieję, że o książce Katarzyny Tempczyk „*Nowe przymierze uczynił Pan z nami...*” - *Teologia Kościoła Katolickiego Mariawitów* - Warszawa 2011 - wydawnictwo naukowe *Semper* - szczegółową recenzję napisze w przyszłości ktoś z teologów tego Kościoła. Ja choć uczuciowo związany z nim, za mało znam szczegóły jego doktryny abym mógł podkreślić wszystkie zalety i wytknąć wszystkie wady tej książki. Zrobiła ona

na mnie jednak wrażenie i tym chcę się z czytelnikami podzielić. Trzeba powiedzieć, że ani ze strony samego Kościoła Katolickiego Mariawitów, ani z zewnątrz nikt dotąd nie usiłował omówić ogólnie jego strony doktrynalnej. Przyczynki odnosiły się do szczegółów. Podjęcie tego tematu było odważną decyzją. Pani Tempczyk zastrzega się, że nie mogła dogłębnie wniknąć w treści owej doktryny, ponieważ odmówiono jej rozmowy z kimś z kierownictwa Kościołem dla wyjaśnienia licznych wątpliwości. Siostra biskupka M. Beatrycze poradziła jej tylko, aby skorzystała z prac opublikowanych i ograniczyła się do tych problemów, które są w nich omówione. Tu jednak powstały wątpliwości, jak rozpoznać co z opublikowanego przedstawia doktrynę Kościoła, z co - opinie teologiczne poszczególnych hierarchów. Wzajemne sprzeczności w opublikowanych dokumentach wskazują, że wiele z nich należy zaliczyć tylko do teologicznych opinii. Ale które?

Autorka podzieliła rozwój doktryny na kilka okresów. Pierwszy jest wspólny dla obu dziś podzielonych Kościołów Mariawitów w Polsce i obejmuje czas od ukonstytuowania się niezależnej od Rzymu organizacji Mariawitów w roku 1907 do śmierci Marii Franciszki Kozłowskiej. Ze względu na autorytet Mateczki można uważać, że wszystko, co wówczas za jej aprobatą zostało opublikowane ma charakter ogólnie przyjętej doktryny. Drugi okres widzi Autorka od śmierci Mateczki do śmierci brata arcybiskupa Michała w hitlerowskim obozie. Początek tego okresu też jest wspólny dla obu polskich odłamów mariawityzmu. Ze względu na przekonanie, że arcybiskup Michał działał pod bezpośrednim przewodnictwem Bożym, to co on osobiście opublikował trzeba również uznawać za oficjalną doktrynę Kościoła Katolickiego Mariawitów. Następne publikacje pojawiają się dopiero za czasów brata arcybiskupa M. Rafaela Wojciechowskiego - większość jego autorstwa, lub przez niego zatwierdzone do druku. Autorka nie rozsądza, czy należy je traktować jako opinie teologiczne, czy mają one też charakter oficjalnej doktryny. Stwierdza tylko, że zawierają wiele treści nieznanych w okresach poprzednich, że arcybiskup Rafael nadał specyficzne zrozumienie sformułowaniom swojego poprzednika. Z uznaniem trzeba odnotować, że na stronicach 221-227 pani Tempczyk przedstawia mariawityzm jako ruch dotyczący przede wszystkim problemów pastoralnych, dość obojętny na sprawy doktrynalne. Potwierdza to znane przekonanie samych mariawitów, że uczestnikiem Dzieła Miłosierdzia można być pozostając w każdym wyznaniu, aby uznającym Eucharystię i pozwalającym naśladować życie pozytywnych postaci biblijnych, a więc i Marii z Nazaretu.

Nie zmieściłoby się w „Pracy nad sobą” szczegółowe omówienie też zamieszczonych w kolejnych rozdziałach książki poświęconych: nauce o Trójcy Świętej, eschatologii, sakramentologii, oraz zagadnieniom ekumenizmu. Zainteresowanych muszę odesłać to tekstu książki.

Swojego czasu wytknąłem pani Tempczyk rozszerzanie zakresów pojęć dla uzyskania szokujących efektów, gdy sporadyczne wypadki rozwiązłości seksualnej nazywała „mistyczną poligamią” i wskazywała na nią jako na coś charakterystycznego dla mariawitów<sup>1</sup>. Tym razem tylko raz daje ona upust tej terminologii powołując się na swego ulubionego autora, poetę i fantastę Peterkiewicza. Wspominając o rozpuszcie jednego z duchownych mariawickich, nazywa jego cudzołożne czyny praktykowaniem poligamii (rozumiem, że tej „mistycznej”). Ciekawe czy podobnie gotowa nazwać znane historyczne i nowsze wyczyny wysokich hierarchów Kościoła Rzymskokatolickiego? Przypuszczam, że w międzyczasie się dowiedziała jak przykładne i istotnie pełne ducha były zakonne małżeństwa choćby biskupów M. Andrzeja Gołębiowskiego i M. Szymona Bucholca i zaprzestała oskarżać w czambuł o niemoralności mariawickich biskupów, jak to zrobiła w poprzedniej publikacji. Natomiast zgodnie z prawdą pisze o dyskusjach mariawickich na temat dopuszczalności poligamii w praktyce chrześcijańskiej, oraz, że wrogowie pomawiali mariawitów o jej praktykowanie. Powołuje się tutaj nawet na zdracę narodu polskiego - niejakiego Skrudlika<sup>2</sup>, co świadczy o jej wielkiej tolerancyjności w stosunku do wrogów mariawityzmu. Przez obfite przytaczanie podobnych źródeł, może wywołać w nieuważnym czytelniku wrażenie, że sama uznaje owe pomówienia, czego jednak formalnie nie czyni. Również nie oskarża już tak zdecydowanie mariawitów o uznawanie dzieci z małżeństw zakonnych za narodzone bez grzechu pierwotnego stwierdzając, że były chrzczone. Z zadowoleniem odnotowuję to dojrzewanie Autorki do obiektywizmu.

Mam nadzieję, że w przyszłych publikacjach pani Tempczyk całkiem się wyrzeknie pisania kategoriicznych opinii o rzeczach sobie nieznanach. Tym razem pozwoiliła sobie na s. 94. pomówić antropozofów o to, że jakoby twierdzą, że Chrystus jest duchem stworzonym, a na s. 241. pisze jednym ciągiem o poglądach antropozofów i Krisznamurtiego tak, że czytelnik może zrozumieć, że to jeden kierunek duchowy. Droga Pani Katarzyno, gdyby Pani postudiowała choć trochę dzieł antropozoficznych, wiedziałaby Pani, że antropozofia jest ruchem chrystocentrycznym uznający jednoznacznie Syna Bożego za zrodzonego w wieczności przez Ojca, oraz że antropozofowie od początku określili szum, zrobiony wokół Krisznamurtiego jako znów narodzonego Chrystusa, za niemożliwy do przyjęcia, bo w ponownym swym przyjściu Chrystus nie miał się objawić jako dzieciątko. Nie cytowałaś też Pani poglądu Peterkiewicza, że dzieła Vintrasa odcisnęły się na poglądach mariawickich.

Tak więc w książce jest nieco bałaganu, który może wywołać zamieszanie w głowie czytelnika, ale większych błędów w niej nie znalazłem (co nie znaczy, że nie znajdują ich inni teolodzy). Więc całość mi się raczej podoba. A jedna rzecz przysporzyła mi nawet dobrego humoru. Mianowicie (cytuję z pamięci) Autorka, opierając się tym razem na mocnych

dokumentach opisuje, jak rzymski proboszcz z okolic Felicjanowa miał problem czy chrzest felicjanowski należy uznawać za ważny. Sądził, że ponieważ chrzczą tam wodą w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, to można, ale na wszelki wypadek zapytał swego dziekana. Dziekan orzekł, że jego zdaniem nie można, ale na wszelki wypadek zapytał swego biskupa. Biskup orzekł, że jego zdaniem można, ale na wszelki wypadek zapytał odpowiednie ciało przy polskim episkopacie. Odpowiednie ciało odpowiedziało, że jego zdaniem nie można, ale na wszelki wypadek zapytało Kongregacji Wiary w Rzymie. Kongregacja zaś po dogłębnym zbadaniu sprawy orzekła, że istnieją argumenty zarówno za, jak i przeciw i dlatego w pewnych sprawach należy uznawać chrzest felicjanowski za ważny, a w innych sprawach za nieważny. Przepraszam, Drodzy Czytelnicy, pisząc z pamięci coś tu chyba uprościłem i przeinaczyłem. Przeczytajcie sami. W każdym razie szczegółowy opis tej sprawy wygląda jak dobry dowcip. Cieszę się też że pani Tempczyk nadesłała do naszej redakcji spokojne, rzeczowe omówienie książek księdza profesora Warchoła którą mogliśmy zamieścić w tymże zeszycie „Pracy”. To przyjemne, gdy mamy okazję publikować przyczynki osób również z poza grona uczestników Dzieła Miłosierdzia,

Tym pozytywnym akcentem kończę tę recenzję.

*brat Paweł*

<sup>1</sup> brat Paweł - *Do pani Katarzyny Tempczyk* - „Praca nad sobą” zeszyt 64 s. 24.

<sup>2</sup> patrz: s. 29/30 niniejszego zeszytu „Pracy nad sobą”.

=====

## **Falszywy agnostyk i racjonalista**



Dawno, bo jeszcze w kwietniu 2010 r. na łamach „Faków i Mitów” ukazał się artykuł M. Agnosiewicza szkalujący Felicję Kozłowską, arcybiskupa M. Kowalskiego i ruch mariawicki. Artykuł pisany był według wzorca wypracowanego jeszcze w początkach ruchu mariawickiego przez polskie klerikalne dziennikarstwo. Zawierał szereg sformułowań, które nie mieszczą się w zasadach ludzi rzetelnych. Na treści zawarte w tym artykule zareagował Kościół Katolicki Mariawitów. Z uwagi na zainteresowanie sprawami wyznaniowym, pozwoliłem sobie w liście do redaktora naczelnego „Faktów i Mitów” zaprotestować przeciw fałszerstwom zawartym w tym artykule. Mimo obowiązkom wynikającym z prawa prasowego redaktor naczelny, wierny zasadom wyniesionym ze swej młodości, nie raczył zająć stanowiska.

Niedawno nakładem wydawnictwa „Racjonalista” redaktor Agnosiewicz opublikował „dzieło” pod tytułem *Heretyckie dziedzictwo Europy*” (Wrocław 2011 r.) Na s. 314-321 tegoż zechciał powtórzyć absurdalne oceny ruchu mariawickiego zaprezentowane w „Faktach i Mitach”. Dodał jedynie, że wobec protestów Kościoła Katolickiego Mariawitów i moich poszerzył zakres źródeł do tego tematu o literaturę protestancką i neutralną (s.321). Szukałem pilnie tych podobno wykorzystanych, protestanckich i neutralnych źródeł w przypisach do artykułu. Nie znalazłem !!! Czyżby kolejne kłamstewko autora? Przyznaję, Agnosiewicz przywołał podane przeze mnie „Faktom i Mitom” opracowania o mariawityzmie księdza .profesora Warchoła i biskupa Gawliny, ale obaj autorzy należą do kleru rzymskiego. Aby nie męczyć Czytelnika sprawami mniej ważnymi przystępuję do rzeczy, czyli oceny wspomnianego „dzieła”.

Zwracam uwagę, że jeśli tytuł książki zawiera termin „herezja”, ma ono już cechy stroniczości i to klerikalnej. Poza tym używając w tytule tego rodzaju określenia autor dokonuje oceny kierunków religijnych z jednoznacznie określonej pozycji. Wobec tego o obiektywizmie piszącego nie sposób mówić. Dowód tego mamy w ocenie mariawityzmu (rozdział ”Kaptanki Aarona i mandolinistki”). Już precyzując w ten sposób tytuł rozdziału autor nie wzniósł się na wyżyny obiektywizmu. Z treścią artykułu jest jeszcze gorzej. Powstaje wątpliwość, czy określenie, że Założycielka ruchu mariawickiego Felicja Kozłowska „zaczęła od objawień, a skończyła jako mariawicka bogini” trąci prymitywizmem - czy tylko wynika z niewiedzy !? To samo należy odnieść do twierdzenia, że ksiądz Kowalski składał Założycielce od początku znajomości „hołdy należne bogom”. Dowodem na brak wiedzy jest twierdzenie Agnosiewicza, że zgromadzenie mariawickie zostało wyklęte, a sama Mateczka imiennie ekskomunikowana. Warto zapytać autora, gdzie wyczytał o wyklęciu zgromadzenia i jaka jest różnica między wyklęciem a ekskomuniką? Ohydny kłamstwem są jego twierdzenia, że mariawici otrzymywali „niemałe środki od rządu carskiego”, który „uznał rozwój ruchu schizmatycznego w łonie Kościoła katolickiego za korzystny dla interesów rosyjskich” (s. 315). Byłoby dobrze gdyby jednak Agnosiewicz poczytał choćby opracowania przywołanego przez siebie w przypisie doktora A. Góreckiego (który nie jest zwolennikiem mariawityzmu) a nie pisał niedorzeczności. Tego rodzaju kłamstwa balansują na granicy pomówienia.

Osobny problem to słynne procesy sądowe arcybiskupa Kowalskiego, z oceną których Autor zupełnie sobie nie radzi. Procesy sądowe ocenia się na podstawie źródeł, a takimi są akta procesowe. Dziwnym przypadkiem akta tych właśnie procesów się nie zachowały. Wobec tego do informacji o procesach zawartych w prasie, szczególnie antymariawickiej, należy podchodzić z ostrożnością. Agnosiewicz ostrożności nie zachował pisząc nieprawdziwie, do tego na podstawie szczególnie dobranej prasy. Powołuje też przedwojennego publicystę M. Skrudlika, któremu trudno przypisać

bezstronność. Ów Skrudlik był w Polsce przedwojennej skazany za szpiegostwo na rzecz Rosji sowieckiej. Powstaje pytanie - czy człowiek-szpieg sprzedający Ojczyznę dla pieniędzy jest wiarygodny? Ubawił mnie Agnosiewicz pisząc, że "dziś sympatycy mariawityzmu podważają ten proces, chcąc wszystko zrzucić na karb wojującego katolicyzmu" (s. 320). Tę tezę autor podpira w przypisie opracowaniami księdza profesora Warchoła i biskupa Gawliny. Wyżej wymienieni należą do kleru rzymskiego, a biskup Gawlina przyznał się po latach do manipulowania mediami w sprawach mariawickich. Wydaje mi się, że agnostyk przywołał źródła podane przeze mnie w liście do „Faktów i Mitów” bez ich przeczytania i zrozumienia w czym rzecz. Proces arcybiskupa Kowalskiego budzi obecnie wiele zastrzeżeń. Wobec braku akt sądowych jego ocena wymaga ostrożności, a Agnosiewicz (podobno prawnik z wykształcenia) winien pamiętać o zasadzie *In dubiis semper pro reo* – w razie wątpliwości należy wyrokować na korzyść oskarżonego. Ale autor opracowania wątpliwości nie ma!!! Nie jest to agnostyk i racjonalista - to inkwizytor .

Dużo by można pisać o autorze-agnostyku, jego wątpliwej wiedzy, błędach w opracowaniu, rozbracie z prawdą. Dodam jedynie, że i w zakresie sprawności pióra z autorem nie jest najlepiej. Używanie określeń w odniesieniu do Felicji Kozłowskiej „wyzionęła ducha”, twierdzenie, że mariawici "wylecieli, z Unii Utrechckiej" (aż ciśnie się pytanie - którymi liniami lotniczymi?), Kowalski "poszedł siedzieć" - świadczą o prymitywizmie autora i ubóstwie terminologicznym. Po lekturze „rewelacji” M. Agnosiewicza ciśnie się na usta cytaty z wiersza poetki – „pójdź dziecko, ja cię uczyć każę”. Tylko Agnosiewicz jest dorosły i pewnie zbyt nasiąknął w młodości fanatyzmem. Tym samym już niereformowalny.

Na internetowej stronie „Racjonalizacji”, firmującej recenzowane „dzieło” czytamy, że jest ona propagatorem racjonalnego myślenia, prezentuje racjonalny obraz świata, tropi między innymi absurd, kłamstwo, głupotę i jest bazą polskich racjonalistów. Wydaje mi się, że książka M. Agnosiewicza nie bardzo pasuje w swej treści do tych szczytnych zasad. Sam autor zaś ma niewiele wspólnego z rzeczywistym agnostycyzmem. *Sapienti sat.*

*Sławomir Gołębiowski*

=====

## **Publikacja obszernych fragmentów „Świadectw” dotyczących małżeństw zakonnych**

Wydane po raz pierwszy w 1927 roku „Świadectwa” kapłanów i sióstr mariawickich dotyczące małżeństw zakonnych stanowią niewątpliwie

jeden z najważniejszych tekstów źródłowych dotyczących początków tej praktyki. Dla szerszego kręgu odbiorców ich treść znana była do tej pory niemal wyłącznie z wrywkowych relacji Jerzego Peterkiewicza. Z tym większą radością należy przywitać dwie nowe publikacje wydane w 2010 roku przez Wydawnictwo Diecezjalne w Sandomierzu: Arcybiskup Jan Maria Michał Kowalski, *O boskim pochodzeniu małżeństw zakonnych* (opracował i wyboru tekstów dokonał E. Warchoł) oraz Edward Warchoł, *Prawie wszystko o tak zwanych małżeństwach „mistycznych” w Starokatolickim Kościele Mariawitów*.

Pierwsza z wymienionych prac stanowi wybór tekstów ze zbioru opublikowanego oryginalnie przez arcybiskupa Michała Kowalskiego w 1928 roku pod tytułem *O Boskim pochodzeniu małżeństw zakonnych*, podzielonych przez redaktora opracowania na 2 rozdziały. Pierwszy z nich zawiera świadectwa ojców Michała Kowalskiego, Jakuba Próchniewskiego, matki Izabeli Wiłuckiej oraz ojca Filipa Feldmana dotyczące procesu dochodzenia do nowej praktyki. W drugim rozdziale zatytułowanym *Wątpliwości, niepokoje i rozczarowania jako następstwa i skutki małżeństw „mistycznych”* zaprezentowane zostały świadectwa ojca Bartłomieja i siostry Cherubiny, ojca biskupa Andrzeja i siostry Gertrudy, ojca Kazimierza i siostry Marii Magdaleny, ojca Cyryla i siostry Lubomiry oraz sióstr Melanii, Mieczysławy, Bogusławy i Archangieli. W Dodatku na końcu pracy znajdujemy ponadto fragmenty świadectwa siostry Honoraty oraz opisy snów sióstr Melanii, Euzebii i Kamili dotyczących ich małżeństw ze zmarłymi kapłanami.

W książce *Prawie wszystko o tak zwanych małżeństwach „mistycznych” w Starokatolickim Kościele Mariawitów* poza omówieniem przedrukowanych w pierwszej pracy fragmentów „świadectw” autor streszcza również – bez przytoczenia ich dokładnej treści - świadectwa ojców Feliksa i Hieronima, a także sióstr Dilekty, Emmy, Dezyderii, Nadziei, Eufemii, Kingi, Celestyny i Anieli. W Aneksach znajdujemy także przedrukowane fragmenty wydania *Dzieła Miłosierdzia* z roku 1927 zawierające szczegółowe informacje dotyczące opozycji względem nowej praktyki księży Modrzejewskiego, Rytlla i Pągowskiego. Na końcu książki zamieszczone zostały fragmenty „świadectw” dotyczących osoby Marii Franciszki Kozłowskiej.

Doceniając fakt publikacji fragmentów *świadectw* dotyczący małżeństw zakonnych można jedynie ubolewać, że nie zostały one przedrukowane w całości, rozwiewając tym samym wciąż liczne niejasności i kontrowersje dotyczące szczegółów z czasów początków tej praktyki..

Katarzyna Tempczyk

---



---

## ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

- brat Paweł – **Głębia wiary a fanatyzm** – s. 1  
 stary mariawita – **Kto powiedział, że ma być lepiej?** - s. 5  
 Honorata Korpikiewicz – **Dwa aforyzmy** – s. 12  
 Damian Kraśny - \*\*\* - s. 13

### DWUGŁOS O USTANIU OFIARY:

- Tatiana Romenko - **Co jest zapisane w objawieniach Mateczki** - s.14  
 St.F. - **Czy to jest objawione tylko mariawitom?** - s.19

### Z PZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:

- Antoni Piekut - **Jak odnowić obraz Mszy Świętej** - s. 9

### OMÓWIENIA - RECENZJE:

- Sławomir Gołębiowski - **O rzetelność i prawdę** - s.23  
 brat Paweł - **Doktryna felicjanowskiego mariawityzmu** - s.25  
 Sławomir Gołębiowski - **Falszywy agnostyk i racjonalista** - s.28  
 Katarzyna Tempczyk - **Publikacja obszernych fragmentów „Świadectw”  
 dotyczących małżeństw zakonnych** - s. 30

---



---

**PRACA nad sobą** – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: brat M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; [redakcja@praca-nad-soba.waw.pl](mailto:redakcja@praca-nad-soba.waw.pl) oraz [redaktorpracy@interia.pl](mailto:redaktorpracy@interia.pl). Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł. Należność należy przysyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przysyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.

---



---